

MARGINES

CZERWIEC 2019

SZKOŁA · UCZNIOWIE · PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKŁAD WŁASNY



W numerze:

- 2 Łowcy wakacyjnych okazji na wyjście z domu
- 2 Co zrobić, by wakacyjny czas nie przeleciał jak piasek przez palce
- 3 Dziesięć miesięcy łączności.
- 3 Deliryk - Artysta Tramwajowy
- 4 Samolubny gen
- 5 Żyj krótko, umieraj młodo
- 6 Przepis na romantyka
- 6 Recenzja „Ojca chrzestnego” (I,II,III)
- 7 Janusz czy Sarmata
- 8 Dawid i Goliat branży gier komputerowych

Łowcy wakacyjnych okazji na wyjście z domu

Mikołaj Pięta

Wielu z nas już teraz buja w obłokach i odlicza dni do upragnionego końca. Do chwili, w której odbierzemy świadectwa z myślą, że wrócimy dopiero za siedemdziesiąt trzy dni. Jednak czy w tym całym szaleństwie pomyśleliśmy o tym, co będziemy robić przez ten cały czas bez troski? W pierwszej kolejności odpoczniemy, odeśpiemy, pozwolimy sobie na dłuższe posiedzenie przed komputerem, co każdy prawdziwy łącznościowiec ma w naturze, ale w którymś momencie zdamy sobie sprawę z tego, że czas wyjść z domu. Gdzie w takim razie warto się wybrać?

Powiedzmy sobie szczerze, na brak wrażeń w Krakowie nie mamy co narzekać. Już 1 czerwca, jak co roku w grodzie Kraka, odbywała się Wielka Parada Smoków z finałem w postaci pokazu fajerwerków w akompaniamencie laserów. Co ciekawe w tym roku wydarzenie zawitało również do innych zakątków Świata. Nasze krakowskie Smoki pod egidą Teatru „Groteska” mogliśmy napotkać między innymi w Irlandii, Portugalii, Chinach czy Norwegii.

Teraz coś dla fanów pięknych widoków, fotografii i porannego (a praktycznie rzecz biorąc nocnego) wstawania. Odespaliście już te wszystkie noce spędzone na pisaniu sprawozdań czy uczeniu się zadań z rozszerzonej matematyki? Świetnie! To przyszedł czas na ruszenie się z łóżka przed porannym śpiewem ptaków. O 4:10 21 czerwca wszyscy widzimy się na Kopcu Kraka. To właśnie o tej porze odbędzie się XVII Podgórski Wschód Słońca. Już podświadomie słyszę wasze jęki i bóle, że jak to tak wcześniej, że jak to tak wchodzić z rana pod taką wielką górkę, ale nie mówcie, że nie - dla Krakowa w blasku porannego słońca nie warto się wysilić?

Trzecią imprezą, jaką warto tu przedstawić, są zdecydowanie Wianki - święto ognia i wody. Impreza

nawiązująca do jednego z rodzimych obrzędów związanych z letnim przesileniem słońca odbędzie 22 czerwca. Tradycyjnie jak co roku, nie zabraknie znanych twórców, a muzykę usłyszymy w niejednym zakątku miasta. Warto też wspomnieć informację szczególnie ważną dla nas - uczniów pustym kieszeniom chłonać kulturę - popularne „Święto Muzyki” jest bezpłatne.

Jak nie smoki czy muzyka, to może zainteresuje was oferta Muzeum Lotnictwa? Już 22 i 23 czerwca odbędzie się XV Małopolski Piknik Lotniczy. Tradycyjnie na terenach dawnego lotniska Rakowice-Czyżyny. Każdy znajdzie coś dla siebie, od klasycznych samolotów dwupłatowych po pokazy zespołów akrobacji lotniczej. Na ziemi też będzie się działo: prezentacje grup historycznych, zwiedzanie wnętrza samolotów, a to wszystko w cenie jednego biletu!

Kolejnym wydarzeniem, na które warto rzucić okiem, jest Kraków Life Festival, który odbędzie się między 16, a 17 sierpnia. W tym roku na scenie swój popis dadzą tacy twórcy jak Post Malone, Calvin Harris czy PRO8L3M. Jednak nie myślcie sobie, że chodzi tu tylko o posłuchanie dobrej muzyki. Co roku organizatorzy kładą duży nacisk na działania około-festiwalowe, czego owocem jest współpraca z instytucjami pokroju Muzeum Narodowego czy Muzeum Sztuki Współczesnej.

A gdzie warto się wybrać by niejako pożegnać się z wolnością od nauki i ciągłego zakuwania formułek? Oczywiście, że na Święto Kolorów! Impreza, dla której inspiracją jest znane na całym świecie indyjskie święto radości to świetna okazja by zabrać ze sobą znajomych i spędzić całe 5 godzin rzucając się kolorowymi proszkami. Prócz samych wspomnień, kolory pozostaną jeszcze długo w waszych głowach!

Od siebie chciałbym również zaprosić wszystkich fanów i wszystkie fanki piłki nożnej 6-osobowej na Finał Pucharu Krakowa Playarena. Jako jeden z organizatorów zapewniam was, że to będzie nie lada mecz. Obrońca tytułu - Kapela Weselna stanie przeciwko wyzwaniu, jakim jest zatrzymanie rozpędzonej maszyny w postaci drużyny Bijemy Miniony. Obie ekipy w tym sezonie nie mają sobie równych na krakowskim podwórku, a więc zapowiada się widowisko pełne ekwilibrystycznych parad bramkarskich, innowacyjnych rozwiązań taktycznych czy bramek, które nam, zwykłym śmiertelnikom, nawet się nie śniły.

Można by tak pisać jeszcze kolejne strony, ale sądzę, że jeśli zainteresował was chociażby jeden z wyróżnionych eventów, to sami poszukacie sobie następnych, które trafią w wasze gusta. Pamiętajcie, w wakacje zawsze jest dobra okazja, by wyjść z domu i eksplorować tak pozornie znany nam świat!

Co zrobić, by wakacyjny czas nie przeleciał jak piasek przez palce Truteń

Za oknem jest coraz więcej słońca, nauczyciele wystawiają oceny, a to może oznaczać tylko jedno – wakacje. Dla wielu osób jest to czas na odpoczynek i zapomnienie o szkole, tylko co zrobić, gdy długi odpoczynek staje się nudny i czas zaczyna się dłużyć? Chciałbym wam przedstawić kilka moich pomysłów na spędzenie tego wolnego czasu w efektywny i miły sposób.

Najpopularniejszym sposobem na spędzenie wakacji jest wyjazd na obóz. Możemy jechać na niego sami (poznamy wtedy nowych ludzi) lub jechać z grupką znajomych. Warto pamiętać o tym, że jest wiele typów obozów (sportowe, naukowe czy nawet detektywistyczne) – sprawi to, że na pewno każdy znajdzie obóz, który go zainteresuje!

Gazeta Szkolna ZŚL

Redakcja w składzie:

Anna Łowicka (red. naczelna), Konrad Miękowski (skład),
Jan Kuśmierczyk, Paweł Hadrian, Michał Janas, Paweł Otak, Patryk Brzezoń

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl

www: margines.tl.krakow.pl

MARGINES

Osoby, które lubią i chcą połączyć przyjemne z pożytecznym mogą poszukać jakiejś sezonowej pracy, która pomoże im zyskać fundusze na wycieczki czy inne przyjemności w pozostałym czasie wolnym. Ponadto w czasie takiej pracy dorywczej zdobywamy nowe umiejętności oraz doświadczenia, które przydadzą się nam w szukaniu następnej pracy (stałej). Dzięki pracy w wakacje możemy poznać historie wielu ludzi, którzy podzielą się z nami swoim doświadczeniem.

Jeżeli nie lubicie kilkudniowych wyjazdów, to warto wybrać się na całodzienną wycieczkę rowerem. Warto sprawdzić najpierw, czy w okolicy są szlaki rowerowe, jeżeli takich nie ma, to można samemu zaplanować bardzo interesującą trasę – w Polsce wbrew pozorom jest wiele ciekawych i bardzo urokliwych miejsc. Przeważnie o nich nie wiemy, a wystarczy dobrze poszukać na mapach, a wierzę, że na wyciągnięcie ręki każdy z nas ma bardzo ciekawe miejsca, z ciekawą historią gdzie można miło spędzić czas.

Kolejnym ze sposobów spędzania wakacyjnego czasu wyjścia na organizowane często w okresie letnim różnego typu imprezy plenerowe, m.in. koncerty. Taki koncert na żywo jest nieporównywalny z muzyką, której słuchamy na co dzień. Nawet jeżeli nie jest to nasz ulubiony wykonawca, to i tak atmosfera, która towarzyszy takiemu występowi jest niesamowita. Z grupką kolegów czy koleżanek takie wypadki zawsze są ciekawsze i dają nam one niezapomniane wspomnienia, do których będziemy wracać w długie zimowe wieczory, czytając „Imię róży” Umberto Eco czy „Zbrodnię i karę” Fiodora Dostojewskiego. Równie dobrze samemu można zorganizować imprezę, na którą zaprosimy, kogo tylko chcemy.

Ostatnim moim pomysłem na spędzenie wakacji jest czytanie książki na świeżym powietrzu. Bierzemy wodę, koc i kolejną pozycję naszego autora i szukamy spokojnego miejsca, ja na przykład mam takie nad jeziorkiem w puszczy. Tam w ciszy nasza wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach, tworząc dodatkową scenerię do czytanej lektury. Jest to niesamowity relaks, a nasze wyobraźnia na niesamowite pole do popisu.

Mam nadzieję, że chociaż jeden z przedstawionych przeze mnie pomysłów pomoże Tobie czytelniku znaleźć sposób na spędzenie wakacji. Tak więc odpoczywajcie i ładujcie akumulatory pozytywną energią, której na kolejny rok szkolny nigdy nie będzie za dużo.

Dziesięć miesięcy Łączności

Michał Janas

Na samym początku września zadebiutowałem w Marginesie tekstem o ZSŁ z perspektywy ucznia pierwszej klasy, nim się obejrzałem, minął rok, a ja w końcu dopisuję drugą część tekstu i próbuję podnieść średnią z j. polskiego.

Wbrew zapewnieniom znajomych i kolegów udało mi się przetrwać cały rok szkolny; może nie wydawać się to jakoś wybitnym osiągnięciem, ale biorąc pod uwagę ilość osób z klasy, które zrezygnowały, napelnia to człowieka czymś na wzór radości. Oczywiście nie cieszę się z samego faktu rezygnacji – głównie dlatego, że znacznie wzrasta prawdopodobieństwo odpowiedzi ustnej. Z drugiej jednak

strony klasa jest mniejsza, a to przekłada się teoretycznie na większy spokój i mniejszą szansę na ww. odpowiedź. Jakoby tego nie ując, jest to temat rzeka, bo ciągle można znajdować nowe plusy i minusy mniejszego stanu klasy. Aczkolwiek widmo zmniejszenia liczby kompanów będzie nad nami wisiało aż do końca szkoły, zestaw nauczycieli uczących nas można porównać do Linii Maginota – teoretycznie nie do przeżycia, ale jak na razie udało się przejść obok. Odnoszę dziwne wrażenie, że jest to spowodowane strajkiem, który akurat odbył się w dość intensywnym okresie roku; gdyby nie on, kilka bonusowych jedynek mogłoby skutecznie osłabić naszą ofensywę dążącą do promocji do kolejnej klasy. Z drugiej jednak strony miesiąc wolnego strasznie rozleniwia, bo kto by się uczył we wczesne wakacje? Jeżeli ktoś nadal nie docenił tego prezentu, przypomnę tylko, że poprzedni taki był aż 26 lat temu, ba wtedy też wydarzył się przed maturami z taką różnicą, iż wtedy się nie odbył. Mówiąc o wydarzeniach, które nie miały wcześniej miejsca, warto wspomnieć o chwilowym zaniku telekomunikacji, bo profil ten zniknie po wakacjach w związku z podwójnym rocznikiem. Sam podwójny rocznik też wcześniej się nie pojawił, więc zaryzykuję stwierdzenie, iż tu i teraz to czas dużych przemian. Ale wracając do meritum, szczerze mówiąc, po roku jestem pozytywnie zaskoczony (nie powiedział żaden uczeń ZSŁ nigdy) wpływem niektórych rzeczy na moją osobę i świadczy o tym sam fakt pisanie tekstu, który nie jest kolejną recenzją hardware'u. Nawet z pozoru nudny przedmiot, jakim jest WOK, sprawił, że słuchając swoich ulubionych utworów muzycznych, zacząłem dostrzegać w liryce ciekawe zabiegi, nawiązania i smaczki.

Deliryk - Artysta Tramwajowy

Mateusz Radek

Godzina 17.32. Michał „Deliryk” Koncewicz wsiada do tramwaju linii 52. I zaczyna grać na gitarze „Nową wesołą nowinę”: „Na ulicy tłum/ wrzask, poklask i zabawa/ dzisiaj każdy tu/ mówi o swoich prawach/ to jest koniec wojen/ koniec ciemnienia/ historyczny moment/ człowiek wychodzi z cienia/ dziś w telewizji/ mówili że Bóg umarł/ cały ten świat to jego wielka trumna”... Ludzie reagują różnie. Jedni udają, że właściwie nic się nie dzieje. Wciąż wpatrują się w Kraków za szybą w tramwaju. Inni przysłuchują się z ciekawością, uśmiechając się. Jeszcze inni wyciągają telefony komórkowe i zaczynają nagrywać. Wielu już go zna. Trafili na niego w tramwaj albo na portalach społecznościowych w Internecie, gdzie występy „Deliryka” śledzą już tysiące użytkowników. A on codziennie, mniej więcej o tej samej porze, pojawia się w środkach komunikacji, by dzięki dźwiękom gitary zmieniać świat.

- Ludzie różnie reagują. Jedni się śmieją, inni płaczą, niektórzy nagrywają filmiki. Są też pasażerowie, którzy patrzą na mnie z niesmakiem - śmieje się Koncewicz. Michał zaczął grać na gitarze już jako nastolatek. - Początkowo działałem w jednym z zespołów rockowych, ale szybko zamarzyłem o indywidualnej karierze. To był okres buntu młodzieńczego. Pogubiłem się. Piłem dużo alkoholu. Wpadłem w nałóg. Tata w końcu wyrzucił mnie z domu. Byłem na dnie - mówi Michał. Jak przyznaje sam „Deliryk”, tylko dzięki tym radykalnym krokom

swojego opiekuna zdecydował się otrząsnąć i podnieść z upadku. - Zapisalem się na odwyk, skończyłem z tym. Zająłem się nauką i muzyką. Wpadłem na pomysł tworzenia muzyki tramwajowej. Zauważyłem, że ludzie wracający z pracy są smutni, zapatrzeni w smartfony, zblazowani, jacyś nieobecni. Widziałem, jak siedzą w tramwajach i uznałem, że jest to miejsce jak teatr. Przestrzeń na występy - tłumaczy. Artysta ma swoje mniej i bardziej lubiane krakowskie linie.

- Występuję od poniedziałku do piątku, około godz. 17.30. Najchętniej wsiadam do tramwaju nr 52, bo ten skład kursuje najczęściej i jeździ blisko mojego mieszkania. Najbardziej gram w linii nr 2 - tłumaczy artysta. Trudno mu jednoznacznie powiedzieć dlaczego. Może powodem jest to, że to tramwaj jest jak linia życia, wyznaczona między dwoma krańcowymi przystankami. - Zaczynałem na Salwatorze, gdzie chodziłem do Liceum Plastycznego, a skończę na cmentarzu - mówi. Powoli staje się jednym z rozpoznawalnych miejskich wariatów, ludzi-ciekawostek, z których zawsze słynął Kraków - jak Biała Dama albo kazimierski Mikołaj.

- Te porównania bardzo mnie cieszą - uśmiecha się Michał. - Kraków zawsze słynął z takich postaci. Takich pozytywnych wariatów. Byli jednym z powodów, które przesądzały o wyjątkowości miasta - dodaje.

Wpisał się już w pejzaż podwawelski. Ba, Kraków utrwalił nawet w jednym ze swoich tatuaży. - Nie ukrywam, że jestem do tego miasta przywiązany. Tu się urodziłem, mieszkałem przez lata na ul. Dietla - mówi

Gra za darmo. Zdarza mu się co prawda prosić o drobne, ale tylko dlatego, że czasem gubi gdzieś piórko do gry na gitarze. - Proszę o nie tylko na czas gry i zawsze zapewniam, że oddam. Często muszę wręcz odrzucać propozycje pieniędzy i mówić, że nie robię tego w celach zarobkowych - mówi. Gra za darmo, bo chce dzielić się miłością do muzyki bezinteresownie. - Chcę dawać ludziom takie „katharsis instant” - jak sam mówi. Takie oczyszczenie na miarę naszych czasów. Zabiegany ludziom, którym w turbopośpiechu brak czasu na wszystko, daje odrobinę wytchnienia w ich codziennym kołowrotku zdarzeń. - Jestem jak muzyczny terrorysta, który burzy ten pozorny spokój - śmieje się Michał.

Dziś ten projekt łączy pokolenia. Zachwyca się nim babcia Michała, ale także syn sąsiada, który wraz z kolegami poluje nawet na „Deliryka” w tramwajach. - Ostatnio sąsiad mi opowiadał nawet, że pojawiła się u niego starsza pani, która powiedziała, że tak się zaśluchała, że aż przegapiła swój przystanek - śmieje się.

Najlepszy na koncert okazuje się pełny tramwaj. W każdym razie jeden z najlepszych występów w takim się zdarzył. Dla pustego jeszcze nie zagrał. - Ale to też byłoby ciekawe. Przede wszystkim jak sam bym się poczuł - mówi.

Zdarzyło mu się też zagrać np. w sklepie, ponieważ akurat pojawił się ktoś, kto chciał go posłuchać.

Na początku koncepcja była taka, że gra przez miesiąc jeden utwór. Ale życie zweryfikowało plan: gdy stał się popularny w Internecie, na portalach społecznościowych, musiał zacząć bardziej urozmaicać repertuar, żeby słuchacze się nie znudzi. - Nie zakładałem, że projekt stanie się taki popularny poza tramwajami, w Internecie. To sprawiło, że musiałem zacząć zmieniać piosenki, bo wiadomo, że ludzie szybko się nudzą, jeśli codziennie obserwują moje występy. Aktualnie mam kilkanaście piosenek, śpiewam je na zmianę. Często można usłyszeć „Nową wesołą nowinę”, czy „Pocztówkę z Krakowa” - tłumaczy Michał „Deliryk” Koncewicz.



„Deliryk” studiuje także na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, na kierunku intermedia. Założył również własną firmę. Teraz planuje wydanie płyty z autorskimi kompozycjami, które krakowianie wysłuchują w tramwajach. Płyta wstępnie ma nosić tytuł: „Klapki nigdy na oczach” i ma zawierać 15 utworów. Skąd taki tytuł? Jego znakiem charakterystycznym oprócz tego, że gra w tramwajach, ma wytatuowaną rękę i siwieje, są czerwone klapki LS, w których wybiegł kiedyś z domu, bo spieszył się na koncert w tramwaju o 17:30. Jak sam mówi, klapki symbolizują to, że w tramwaju czuje się jak w domu. Premiera płyty jest wstępnie zaplanowana na jesień tego roku.

Wszystkich zainteresowanych tym niezwykłym człowiekiem zapraszam serdecznie na media społecznościowe, takie jak: Facebook czy Instagram. Wystarczy wpisać: „Deliryk Artysta Trawmajowy”.

Samolubny gen

Paweł Otak

Czyli trochę o altruizmie.

Kiedy słyszymy pojęcie „samolubny gen”, w większości przypadków może nas to wprowadzić w zakłopotanie. Po zadaniu pytania osobie o pseudonimie „gumka333”, otrzymałem następującą odpowiedź: „Nie wiem. Jak pomyślę to wydaje mi się, że to gen, który nie łączy się z innymi w jakiś sposób tzn. nie współpracuje.” Termin ten stworzył Richard Dawkins, aby opisać pewną hipotezę dotyczącą selekcji naturalnej; w 1976 wydał tak zatytułowaną książkę. W takim razie, co kryje się pod tym pojęciem?

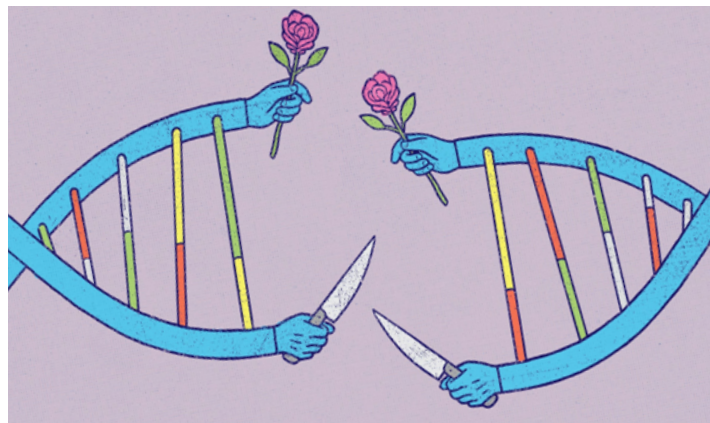
Patrząc na to pojęcie, możemy odczuć wrażenie, jakby nasza natura wymagała od nas bycia samolubnymi istotami. Sam Dawkins stwierdził, że mało w nim z dyplomaty i sama prawda jest dla niego ważniejsza. Żeby zrozumieć, o co mogło chodzić, musimy rozebrać problem na czynniki pierwsze i ustalić, czym jest dla nas selekcja naturalna i gen.

Jak wiemy z biologii - organizmy są zbudowane i kierowane przez złożone procesy chemiczne, które uwarunkowane są przez informacje zakodowane w cząsteczkach kwasu deoksyrybonukleinowego, w skrócie DNA. Mechanizm selekcji naturalnej opiera się na zmianach w populacji takich jak adaptacja czy wymieranie. Organizmy posiadające korzystne cechy mają większą szansę na przeżycie i rozmnażanie, co prowadzi do zwiększania częstości występowania „korzystnego DNA” w populacji. Podczas rozmnażania powstają organizmy z mieszkanką sekwencji DNA swoich rodziców. Nawet jednokomórkowe formy życia posiadają możliwość swego rodzaju „wymiany” tych sekwencji.

W ten sposób możemy stwierdzić, że tak naprawdę tylko konkretne części kodu genetycznego ulegają powieleniu 1:1.

Gen jest częścią DNA, zawartego w organizmie i determinującego jedną cechę. Jest to bliskie stwierdzenie do tego, które sformułował Gregor Mendel. Jednakże musimy mieć również na uwadze, że ta definicja genu jest bardzo uproszczona. W końcu, wiele organizmów może posiadać dwie wersje tego samego genu, ten sam gen może wpływać na kilka cech, na większość cech może wpływać więcej niż jeden gen, geny mogą wpływać na inne, jedna sekcja DNA może być interpretowana na wiele sposobów. Na domiar złego wszystkiemu przewodzą wieloetapowe procesy chemiczne, jak również wpływ środowiska na zewnątrz i wewnątrz organizmu. Ostatecznie mamy spore zamieszanie, stąd też moje uproszczenie, które ma za zadanie w jak najprostszy sposób pomóc zrozumieć koncepcję Dawkinsa. Zanim przejdziemy dalej, należy wprowadzić jedną poprawkę więcej i powiedzieć, że gen jest schematem części DNA, którego kopie zawarte są w organizmach i determinują jedną cechę. Wynika z tego, że organizm żyje i umiera, gdy gen może przetrwać i ulegać dalszej replikacji, więc to między nimi toczy się walka w selekcji naturalnej.

Gdybyśmy znaleźli się na miejscu tego genu i mogli stworzyć plan, jak oddziaływać na nasze i inne organizmy, moglibyśmy przyjąć trzy najbardziej optymalne strategie. Pierwsza - organizm działa z korzyścią dla siebie i innych, pod czym może kryć się np. altruizm odwzajemniony (pomoc innym, licząc na pomoc w przyszłości). Druga - organizm działa z korzyścią dla siebie i stratą dla innych, co czyni nas zdefinicjami samolubnymi. Trzecia - organizm działa ze stratą dla siebie i korzyścią dla innych, czego przykładem jest altruizm.



„Samolubny gen” to tak naprawdę opis sposobu działania genu w selekcji naturalnej. Dawkins opisuje organizmy jako „pojazdy”, których dobro ma mniejsze znaczenie, a najważniejsze jest zapewnienie ciągłości genu w wyniku replikacji. Najbardziej owocną strategią w tym przypadku okazuje się strategia trzecia, a nie druga. Można to zaobserwować u owadów społecznych takich jak mrówki czy pszczoły, które potrafią poświęcić życie dla dobra społeczności. Jeśli organizm będzie pomagał innym posiadającym ten sam gen, pozwoli mu to zapewnić jego ciągłość. Więc czemu jest on nazywany „samolubny”? Z racji, że w danym momencie może istnieć kilka kopii genu, dla niego samego nie ma zbytnio znaczenia, która z nich przeżyje i ulegnie reprodukcji.

Żyj krótko, umieraj młodo

Patryk Brzezoń

Istnieją tacy ludzie, którzy zawsze będą kojarzeni ze złotym okresem ich twórczości, nazywamy ich artystami. Artysta - jaki jest - każdy widzi, może być muzykiem, malarzem, rzeźbiarzem, pisarzem, aktorem czy też fotografem. Głównym kryterium, wyznaczającym, kto do tej (ongiś) wąskiej grupy należy, tudzież należał, jest kwestia tego, czy praca jego rąk nosi znamiona charakterystyczne sztuce. Znamiona te są jednak bardzo trudne do dokładnego zdefiniowania, bowiem sztuka jest niezwykle obszernym pojęciem. Znaczenie sztuki zmienia się również wraz z czasem, inaczej była ona postrzegana w każdej epoce, co dodatkowo utrudnia nadanie jej odpowiedniej definicji. Gdybyśmy chcieli uporządkować sztukę wedle tego, jaką funkcję pełni, tak samo musielibyśmy spojrzeć na zagadnienie czasu. W prehistorii miała ona za zadanie udokumentować dokonania, jakimi wtedy były dla ówczesnych ludów polowania. Oczywiście jest, że owa funkcja zmieniła się z biegiem historii. Kiedy spojrzymy na dzieje Purpury, opisane piórem Henryka Sienkiewicza, dojdziemy do wniosku, że również występuje tutaj dokumentacja dokonań, jednakże ma ona na celu potępienie szeregu zachowań narodu i nakłonienie do pracy organicznej. Kiedy przyglądamy się sztuce, wkrótce zauważamy, jak ważną rolę pełni w niej pojęcie czasu. Czas jest czymś niesamowicie ważnym nie tylko w sztuce, to on kontroluje, kiedy się rodzimy, a następnie umieramy. Możemy więc powiedzieć, że upływ czasu jest nieubłagany, a przynajmniej w naszej ziemskiej rzeczywistości. To następnie sprawia, że nasuwa się kolejny wniosek - śmierć również spotka każdego, nawet Nicolasa Flamela, kiedy skończy mu się eliksir z kamienia filozoficznego. Do tej nieuniknionej dwójki dochodzą jeszcze podatki, ale to już temat na osobny tekst. Artyści zatem, mimo nierzadko wielkich zasług w tworzeniu światowej kultury, też są skazani na odejście z tego świata. Jak wspomniałem na początku, artyści głównie kojarzeni są z okresem, w którym ich twórczość osiągała apogeum. Przykładów jest wiele, chociażby Shirley Temple, którą każdy zna jedynie z dziecięcych ról czy też Macaulay Culkin, grający Kevina, o którym rodzice zapomnieli na lotnisku w 1990 r. Mało kto myśli o tych osobach jako dorosłych ludziach; pewne role czy okresy życia artystów stają się ich nierozłączną częścią. Często bywa tak, że twórców zaczyna to denerwować. Przykładem jest Daniel Radcliffe, obecnie próbujący za wszelką cenę odciąć się od powiązania jego osoby z rolą Harrego Pottera. Niektóre wydarzenia są niemożliwe do określenia w przyszłości. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć wypadku czy choroby. Wielką stratą jest, gdy umiera człowiek. Cierpią wtedy jego bliscy - rodzina, przyjaciele, znajomi. Kiedy umiera artysta, cierpi świat sztuki, a to cierpienie to świadomość tego, że nie ujrzymy już niczego, co sprawiło, że dana osoba została rozpoznawalna wśród innych wielbicieli sztuki. Myślę jednak, że istnieją przykłady osób, dla których wczesna śmierć nie była niczym strasznym. Dla niektórych ludzi lepiej umrzeć w trakcie trwania apogeum swojej twórczości. Zostali oni bowiem na zawsze zapamiętani jako wybitni czy świetni w tym, w czym się trudnili. Pech sprawia, że często młodzi artyści (w tym przypadku muzycy) tracą życie w wieku 27 lat. W kulturze utworzyło się pojęcie

Klubu 27, mającego zrzeszać muzyków zmarłych w tymże wieku. Pierwszy raz zaczęto o nim mówić po samobójstwie Kurta Cobaina – znanego wokalisty Nirvany. Powstało wówczas wiele teorii spiskowych, głównie za sprawą matki muzyka, jednakże wszystkie obalono. Teorie mówiły, że Kurt popełnił samobójstwo, by „dołączyć do Klubu”, co było nieprawdą. O amerykańskim muzyku mówi się do dzisiaj, jego spuścizna żyje po dziś dzień, choć większość osób zna zaledwie jeden utwór. Myślę, że Kurt Cobain wolałby być zapamiętany jako 27-letni, kontrowersyjny muzyk. Niektóre osoby przeraża wizja starości. Nie są w stanie się z nią utożsamić i woła, by świat znał je takimi, jak same to zaplanowały. Trudno wyobrazić sobie znanego rockmana z wnukami, prawda?

Przepis na romantyka

Na pewno masz w życiu takie dni, gdy po prostu nudzisz się i nie wiesz, co ze sobą zrobić. Na ostatniej lekcji polskiego (podczas spontanicznej dyskusji) wpadłem na pomysł, że w tym czasie można by zostać romantykiem, dlatego poniżej przedstawię przepis, jak to zrobić. Zapraszam!

Krok 1

Oglądasz innych romantyków i myślisz, co oni mają w głowie, że tworzą takie dzieła.

Krok 2

Piszesz własne dzieło, wzorując się na nich.

A teraz najważniejszy krok 3

Do dzieła twórcy wprowadzasz następujące zmiany:

- Zamieniasz rymy abba na jakiegokolwiek inne, na przykład abc abc,
- Dorzucasz do tego własne refleksje, tylko ważne, żeby nie były tak jak w normalnych dziełach, czyli 2 strofy opisu i 2 strofy refleksji - tylko jakkolwiek inaczej,
- Na dodatek mieszamy rodzaje: dla przykładu do sonetu dodajemy dialog, czyli element dramatu,
- Na koniec umieść jakieś nawiązanie do innej ery lub twórcy.

Krok 4

Wydać dzieło najlepiej o tytule, który nie nawiązuje bezpośrednio do tekstu, żeby zmusić czytelnika do większego myślenia.

Krok 5

Zostań sławny i spraw, by twoje nazwisko było znane i pamiętane przez pokolenia.

Mam nadzieję, że pomogłem. Polecam napisać własne dzieło według powyższej instrukcji. Powodzenia ;)

7							2
	6						4
			9		8		
	3	6				9	8
				1			
	4						3
			8		6		
		2				5	
1							7

Recenzja „Ojca chrzestnego” (I,II,III)

Patryk Brzezoń

Niektóre filmy, lata po premierze, okrzykiwane są klasyką kina. Z klasykami jest tak, że wypada wiedzieć o nich choć trochę więcej, aniżeli to, jak brzmi tytuł, ponieważ uchodzą one za „kultowe”, co oznacza, że nawiązań do tego typu treści istnieje ogromna ilość, a i doszukanie się ich nie należy do trudnych zadań. Zazwyczaj, gdy widzimy te same tytuły filmów z dopiskiem „2” lub „3”, do głowy przychodzi nam myśl, że najpewniej jest to kontynuacja danej opowieści stworzona głównie w celach zarobkowych. Jak to z filmami bywa, te stworzone poniekąd na siłę, wkrótce okazują się być znacznie gorsze od poprzedniego lub też poprzednich; przykłady? - „Szybcy i wściekli”. Tak jednak nie jest w przypadku filmu reżyserii Francisa Forda Coppoli pt. „Ojciec chrzestny”. Powstanie trzech części nie jest tutaj wynikiem dopisywania historii ze względu na potencjalny zarobek, bowiem dzieła te powstały na skutek ekranizacji powieści Maria Puzo o tym samym tytule – co ciekawe, autor również miał wkład w reżyserię każdej z nich.

Filmy opowiadają historię włoskich rodzin, mających wówczas wpływ w Stanach Zjednoczonych. Rodzina jednak, w zamyśle ówczesnej Ameryki, nie jest tym, z czym mamy do czynienia na co dzień. Termin ten oznacza mafię, która wówczas funkcjonowała w Nowym Yorku. Do Rodziny należały osoby podległe Ojcu chrzestnemu. Akcja pierwszej części to wczesne lata po drugiej wojnie światowej. Ów Ojciec chrzestny jest Donem (głową rodziny) rodu Corleone i to on sprawuje władzę. Można powiedzieć, że życie tejże rodziny wiodło się spokojnie i bez większych problemów do pewnego czasu. Punktem, który nadał rozpędu akcji, była odmowa handlu narkotykami przez Dona Corleone – Vita. Skutkiem tej decyzji okazała się być wojna gangów, która pociągnęła za sobą niezliczoną liczbę ofiar. Historia opowiadana jest na tyle szczegółowo, że aby w pełni zrozumieć wszystkie wydarzenia, musielibyśmy obejrzeć wszystkie trzy części przynajmniej dwa razy. O szczegółowości świadczyć może nie tylko liczba filmów, na którą została podzielona historia, lecz także długość trwania każdej z nich, w podsumowaniu dostajemy niemalże dziewięć godzin seansu. Warto dodać, że jak to w rodzinie bywa, Vito otoczony był swoimi synami – niektórzy z nich pełnili funkcję doradców, a jeden był prawnikiem.

To, co zdecydowanie wyróżnia „Ojca chrzestnego” od innych filmów, to fakt, że nie znajdziemy tutaj pomyłek. Wszystko ma sens, akcja jest ciekawa i nie ma chwili, w której mielibyśmy wrażenie znudzenia. Przyznam szczerze, że przez krótki moment fabuła trzeciej części wydawała mi się niespójna, lecz wkrótce okazało się, iż moje oskarżenie było bezpodstawne. Dzieła Maria Puzo i Francisa Forda Coppoli są swoistą „kopalnią” motywów i cytatów, wykorzystywanych w wielu dziełach jako nawiązania do najśłynniejszych scen. Filmy zapewniają osobie oglądającej prawdziwy wachlarz emocji – od zdenerwowania przed tym, co się wydarzy, przez nostalgię do poprzednich odsłon i radości, aż do smutku i zdziwienia – przez cały czas trwania akcji oglądający nie może się nudzić. Muzyka jest dobrana wprost perfekcyjnie do scen, odgrywających się na ekranie, a główny motyw

muzyczny, zapada w pamięć na zawsze i już do końca będzie przez nas kojarzony wyłącznie z dziejami rodziny Corleone. Stroje odpowiadają ubiorowi w latach trwania akcji, tak samo jak i samochody – kiedy akcja ma miejsce w Nowym Yorku, bohaterowie przemieszczają się Cadillacami, kiedy jednak znajdują się oni na Sycylii, wtedy naszym oczom ukaże się logo Maserati czy też Alfę Romeo.

Wiele osób uważa, że trzecia odsłona ustępuje dwóm poprzednim. Osobiście uważam, że tak nie jest, niezadowolenie może wynikać z faktu, iż wydarzenia w niej nie są aż tak nafaszerowane czystą gangsterką jak w części pierwszej, co oczywiście nie znaczy, że nie ma jej wcale. Moim zdaniem cała trylogia jest zbiorem świetnych filmów, które, jeśli czas pozwoli, obejrzę raz jeszcze, tym razem, skupiając swą uwagę w większej mierze na szczegółach. Sądzę, iż „Ojciec chrzestny” to pozycja obowiązkowa i każdego, kto jeszcze nie miał okazji go obejrzeć, gorąco do tego zachęcam.



Janusz czy Sarmata [404]

Nawet Radziwiłł był Januszem

Karykturę sarmackiego wzoru zna każdy – to pijany, aroganci, gburowaty, imprezowy szlachcic, ceniący sobie tylko złoto we własnej kieszeni i zapasy w spichlerzu. Lecz od takiej postawy, sięgającej jeszcze XVII wieku, minęło już przecież prawie 400 lat – próżno jest więc doszukiwać się jej objawów obecnie?

Nie można by się bardziej jednak mylić. Choć od godnych porzucenia ideałów naszych przodków minęło wiele wieków i dwie Rzeczypospolite, to nie trudno jest napotkać kogoś, kto bezproblemowo odnalazłaby się pośród dawnej szlachty. Na każdym kroku można natrafić na osoby, których zachowanie i charakter jest co najmniej oburzające, o ile nie odrażające. Przedstawiam więc objawy „Sarmatozy”, z którymi czytelnik na pewno się spotkał, a których wytępić nie zdoła żaden lekarz i żaden medykament.

Jeden z najczęstszych objawów to głębokie poczucie własnej ważności, i manifestowana przez to arogancja. Łatwo jest ten objaw znaleźć w ośrodkach handlu – gdzie zarażony osobnik uważa się za uprzywilejowanego (często nie podając temu żadnej podstawy, ponieważ takowa nie istnieje), któremu należy się np. obsługa pomimo zamykania kasy (wyrażona często w stronę bezbronnej kasjerki). Poza sytuacjami sklepowymi to także dominacja

na drodze, parkingu, czy nawet przy domowym stole, gdzie to nasz Sarmata ma pierwszeństwo i jedyne prawo głosu. W czasach szlacheckich arogancja ta doprowadziła do stanu, gdzie woleli oni porzucić ojczyznę obcemu najeźdźcy, byle by uchować własny kark, a może nawet coś zarobić.

Kolejny objaw również można łatwo zaobserwować w miejscach, gdzie króluje pieniądź, i jest z poprzednim powiązany. Jest to, pisząc pięknie, zaostrome postrzeganie wartości złotówki, a pisząc prosto – chciwość. Takowy Sarmata rzuca się na okazję nie tylko by zaoszczędzić, ale też zagarnąć ją tylko i wyłącznie dla siebie, bez zważenia, czy dany obiekt jest mu potrzebny. Dzięki tej mentalności dostaliśmy perły jak „Bitwa pod Lidlem” (2014) czy „Oblężenie Biedronki” (2013), a także zacofanie i nieudolność I Rzeczypospolitej, w której właściciele ziemscy, zamiast inwestować w infrastrukturę i gospodarkę, budowali sobie kolejne pałace, zaś surowce i gotowce sprowadzali zza granicy. Przez to także, pomimo szerokiego dostępu do Bałtyku, Polska nigdy nie sfundowała sobie godnej marynarki wojennej, a polskie wojsko nie mogło oczekiwać na bardzo potrzebne dofinansowania.

Inny objaw, także powiązany z pierwszym, to miłość do czasów ubiegłych i wstręt przed postępem, nieważne w jakiej formie miałyby on nastąpić. Dzisiejszy Sarmata tęskni za tym, co było kiedyś (jednocześnie na to narzekając przy innej rozmowie), i uwielbia przyrównywać to do stanu obecnego, próbując użyć dawnych (w większości błędnych) norm jako argumentów. Obawia się nowoczesnej techniki i kultury, uważając je często za bezpośrednie zagrożenie (niekiedy popychany do tego przez media), a jednocześnie chce nieudolnie je emulować, by się wywyższyć. I tak można przyrównać tzw. ponglish do ulubionych przez szlachtę makaronizmów (warto jednak zaznaczyć, że nauka języków obcych to dobra rzecz – natomiast siłowe wplatanie ich elementów w inne języki, niezbyt), czy ostatnie zdanie poprzedniego akapitu.

Jak widać, w polaku nie jest trudno znaleźć jego przodka. Należy się jednak zastanowić, czy częściej znajdujemy Sarmacki wzór – woja i patriotę, czy Sarmacką karykturę – chciwego narcyza.

					3		8	5
		1		2				
			5		7			
		4				1		
	9							
5							7	3
		2		1				
				4				9

Dawid i Goliat branży gier komputerowych

AugRev

Czy Epic Games i ich nowy sklepik stanowią realne zagrożenie dla ogromnego parowozu Gabe'a Newella?

Nadszedł chyba czas, w którym Steam powinno wytoczyć ciężkie działa, by walczyć o pozycję lidera na rynku. No, może troszkę dramatyzuję albo po prostu bardzo liczę na rychłą zapowiedź Half-Life 3. Bowiem wcale nie tak dawno na arenie pojawił się nowy zawodnik - Epic Games, studio, o którym trudno nie słyszeć, jeśli chociażby raz na tydzień przegląda się portale o tematyce gier wideo. Zasłynęło ono swego czasu z gry „Fortnite” i od tej chwili nurkuje coraz głębiej w wielkiej górze pieniędzy jak pewien znany kaczor.

Otóż niedawno Epic otworzyło sklep o wdzięcznej nazwie Epic Store. I w czym ten sklepik jest niby lepszy od Steam? Z punktu widzenia konsumenta – to kolejny kłopotliwy launcher do zainstalowania, który zajmuje cenne miejsce na dysku. Z punktu widzenia producenta gier – mniejsza wysokość marży. Platforma pocziwego Gabe'a zabiera producentowi prawie 1/3 dochodu. Epic Store zebrало kilku mniejszych wydawców, którym ta praktyka Steam'a straszliwie nie sprzyja. Produkcje przez nich wydane będą dostępne tylko na platformie twórców „Fortnite”. Do tego tajemnego kręgu należą m.in. Coffee Stain Studio (twórcy m.in. „Symulatora Kozy”), których najnowszą grą – „Satisfactory” będzie dostępna tylko w Epic Store. Ale to był dopiero przedsmak. Co chwilę słyszy się o kolejnym głośnym, oczekiwanym tytule, który przez ograniczony czas dostępny będzie tylko w sklepie Epic Games. Na początku społeczność graczy dowiedziała się, że Ubisoft zawarł umowę z Epic Games, na mocy której jedna z ich najnowszych produkcji – Tom Clancy's The Division 2 pojawiła się wyłącznie na Epic Store oraz ich własnej platformie – Uplay. Zaraz później (o zgrozo, na nieco ponad dwa tygodnie przed premierą) społeczność graczy dowiedziała się, że trzecia odsłona cyklu „Metro” również do nabycia będzie tylko na Epic Games Store, ale tylko przez rok. Jeszcze później, jak grom z jasnego nieba, uderzyła nas wiadomość o świetnie zapowiadającym się pogromcy „Fallouta 76”, czyli „The Outer Worlds”, który również zostanie tytułem na wyłączność, również przez rok. A wisienką na torcie stał się świeżutko zapowiedziany „Borderlands 3”, który tak jak poprzednie tytuły ukaże się na Steamie z, tym razem, 6-miesięcznym opóźnieniem.

Tak więc pytanie brzmi, czy Epic stanowi realne zagrożenie dla Steam? Czy już za niedługo będziemy mogli pożegnać się z naszymi bibliotekami gier na zawsze? Cóż, żaden ze mnie analityk, ale sytuacja wygląda nie najlepiej. Prawdą jest to, że Valve samo pod sobą dołki kopie. Ich platforma jest aktualnie całkowicie zasypana gramami - delikatnie rzecz ujmując - niskich lotów, wysokość marży jest obniżana po przekroczeniu pewnych progów sprzedaży i o ile przy większych wydawcach może się to sprawdzić, tak małe ambitne studia nic na tym nie zyskują, ich system pozwala na dość łatwe publikowanie gier na platformie, co powoduje napływ śmieciowych gier (ale z drugiej strony też zakopanych w bagnie perełek).

lii... to w zasadzie tyle. Ceny gier są takie same, opcje płatności również. Choć kupując grę na Steam, zapłacimy dokładnie taką cenę, jaka widnieje przy tytule gry. Epic nalicza prowizję w zależności od metody płatności, np. przy Paysafecard jest to 7% ceny produktu. Platforma Valve oferuje przy tym dużo więcej i nie chodzi tu o ilość gier (których w 2018 pojawiło się ponad 9 tysięcy). Rozbudowana społeczność, bogate fora zrzeszające fanów poszczególnych tytułów, system osiągnięć, rynek przedmiotów, system kart, a nawet wydarzenia związane z ogromnymi sezonowymi obniżkami cen gier.



Mimo to społeczność wydaje się być podzielona. Są ludzie, którzy zawzięcie bronią Steama, inni bronią sklepu Epic, a jeszcze inni mają to zupełnie w nosie i kupują interesujące ich tytuły bez względu na platformę. Osobiście drażni mnie sposób podejścia Epic do konsumentów, traktujące ich niżej od producentów (do czego przyznał się sam prezes firmy – Tim Sweeney) oraz to, że, próbując pokonać „monopol” platformy Gabena, sam tworzy gorszy monopol, polegający na wykupywaniu gier na wyłączność. Nie pomagają również plotki o tym, że launcher Epic'a służy też jako oprogramowanie szpiegowskie mające m.in. przysyłać informacje odnośnie aktywności użytkowników na Steamie.

Czy zatem rozwijający się sklep Epica (któremu brakuje podstawowych funkcji sklepu internetowego takich jak koszyk czy podział na gier na chociażby gatunki, przy ponad 4-miesięcznej działalności) ma szansę zaszkodzić parowemu tytanowi? W zasadzie to już mu szkodzi... Jedna rzecz, w której nowy sklep jest lepszy, to jakość produktów. Epic Games Store wybiera pyszniutkie kąski, które zdecydowanie przyciągną graczy, natomiast Steam jest w swojej liberalności zaśmiecony towarami najgorszego sortu. Ale o zawartości sklepu Valve można by napisać osobny artykuł.

Podsumowując: papa Gabe powinien rychło zacząć prętnie działać, by poprawić swoją platformę dla producentów albo obudzi się z ręką w nocniku, a dla społeczności graczy nadejdą ciężkie czasy chińskiego oprogramowania szpiegowskiego.

M I Ł Y C H W A K A C J I